

Oko kamery filmowej zarejestrowało ten moment. Ośnieżony szczyt Shishapangma i Jerzy Kukuczka rozciągający twarz w uśmiechu. Nie da się wykluczyć, że to uśmiech ulgi. Przed chwilą pozbył się bowiem pewnej obsesji i – jak napomknie później dziennikarzowi – dzięki Bogu, że ma to za sobą.

Projekt wejścia na czternaście ośmiotysięcznych szczytów świata nie był jego własnym pomysłem. Wyklął się on w głowie samotnego zdobywcy Everestu, wspinacza z południowego Tyrolu, Reinholda Messnera, który postarał się nadać całemu przedsięwzięciu trochę dramatycznych i teatralnych efektów.

Jerzy Kukuczka dopiął swego po siedmiu latach. W połowie września tego roku postawił stopę na ostatnim z himalajskich supergigantów.

Shishapangma to po tybetańsku tyle co „Góra złej pogody”. Mierzy 8013 metrów i jest najniższa w szeregu himalajskich kolosów. Usytuowana na północnej flance, stanowi granicę klimatyczną, fale chmur z południa rozbijają się o jej szczyt, zagęszczają i kłębią. Z punktu widzenia techniki wspinaczkowej nie jest trudna do pokonania, czym wyróżnia się z grona swych siostrzyc. Bywa kapryśna, lecz na ogół pozwala się osiąść. Inna rzecz, że jest górą kosztowną i trzeba mieć w zanadrzu okrągłą sumkę na bilet wstępu. Wystawia go Chiński Związek Alpinistyczny. Oczywiście pośrednio. Członkowie wypraw himalajskich płacą za wszystkie usługi, na przykład transportowe, trzykrotnie wyższe rachunki aniżeli przeciętny turysta zapuszczający się w te okolice. Nie są to może sumy zbyt wielkie dla ludzi zamożnych, nie-

Trzon wyprawy tworzyli himalaiści z klubu śląskiego: Ryszard Warecki, Janusz Majer, Artur Hajzer. Trzem z nich – Kukuczce, Hajzerowi i Wareckiemu, udało się stanąć na szczycie Shishapangma.

Ostatni szczyt





Himalaje w obiektywie fotoreportera „National Geographic”. Jerzy Kukuczka: „Zawsze pragnąłem, aby alpinizm i kimalaizm były czymś, co ludzie potrafią zrozumieć i zaakceptować.”

mniej dla polskich wypraw bywają trudne do zdobycia. Pomóc mogą sponsorzy. Nie zawsze się jednak trafiają i do zwyczajnie należy, że koszty pokrywają sami zainteresowani. Cała śmietanka polskich himalaistów wynajmuje się w tym celu na okrągło do robót wysokościowych: pucowania okien w wysokościowcach, malowania kominów i wiaduktów. Przeciętnie, jeden most przeliczyć można na miesiąc w Nepalu lub 10 dni w Chinach. Klubowe znaczenie ma też udział obcokra-

jowców w wyprawie. Wiąże się to z niezbędnym zastrzykiem twardej waluty.

Wiosną, zanim członkowie International Expedition oddadzą się atrakcyjnym wspinaczki, kierownik ekipy Jerzy Kukuczka porządnie łamie sobie głowę nad finansami. Na szczęście ma talent kupiecki. Na samym wstępie udaje mu się zredukować przyszłe wydatki po porozumieniu z Chińskim Związkiem Alpinistycznym. Nie ma też kłopotu z cudzoziemcami. Jego reputacja w światku alpi-

nistycznym ugruntowała się na tyle, że sprawą prestiżową zaczyna być zaliczanie się do jego otoczenia. Jest para Meksykanów – Carlos Carsolio i Elsa Avita, Ekwadorczyk Ramiro Navarreta i dwóch Anglosasów – Allan Hinkes i Steve Untch. Do właściwej grupy, której trzon stanowią członkowie Katowickiego Klubu Wysokogórskiego, dołącza też trzyosobowa, żeńska wyprawa Wandy Rutkiewicz. Są z nią dwie francuskie dziennikarki: Cristine Colombei i Małgorzata Fromenty-Bilczewska. Ta ostatnia reprezentująca III program telewizji. Jej udział przyciąga uwagę paru firm handlujących sprzętem sportowym, gotowych potrząsnąć kiesą w zamian za reklamę na szklanym ekranie. Jest to sprzyjająca okoliczność i budżet udaje się jakoś zamknąć. Mimo to potrzebny jest jak największy pośpiech. Prędko dokonać swego i zabierać się z powrotem, bez przedłużania kosztownej zabawy.

Szpital polowy

Baza górna na Shishapangma zainstalowana jest wyżej niż na innych ośmiotysięcznikach. Zbliżona położeniem jest tylko baza na Kangchendzongę, z tą wszakże różnicą, iż dostać się do niej można wyłącznie pieszą karawaną. Trwa to długo, ale jest zbawienne dla organizmu, dając czas potrzebny do aklimatyzacji. Na Shishapangma do piątego kilometra – licząc w linii prostej, dojechać można samochodem terenowym. Do głównego obozu pozostaje kilometr do przejścia. Droga trwa dwa dni wzdłuż strumienia wypływającego spod lodowca. Wszystko razem za szybko. Nawet człowiek o wyjątkowej konstrukcji fizycznej nie znieśie bezkarnie równie gwałtownej zmiany ciśnienia.

W tak zwanej bazie chińskiej, w miejscu gdzie zawróciły dżipy, lekarz wyprawy docent Lech Korniszewski ma już pierwszych pacjentów. Dwójka meksykańskich studentów, Avita i Carsolio, mimo że na co dzień mieszkają w położonym 2,5 tys. metrów n.p.m. Mexico City – ledwie trzyma się na nogach. Raz po raz wstrząsają nimi torsje. Typowe objawy choroby wysokościowej, które też zaczynają nękać Anglika, Allana Hinkesa.

Pozostali trzymają się jednak i na drugi dzień od rana ponaglają tybetańskich tragarzy do pośpiechu. Karawana dwudziestu jaków rusza do głównej bazy wysokościowej.

Po trzech dniach chorzy doktora Korniszewskiego czują się już jako tako, lecz niespodziewanie wraca Cristine Colombei z hiobową wieścią, że Janusz Majer, klubowy kolega Jerzego Kukuczki, stracił przytomność i jego stan nie wróży, by doczekał jutra. Z opisu rozdygotanej Colombei wynika, że jest to stadium, w którym występuje już obrzęk mózgu i płuc. Chory dusi się. Nie zwlekając doktor zarzuca na ramię plecak z medycznymi utensyliami i rusza w górę. 400 metrów poniżej bazy natyka się na ludzi. Na Majera z sinicą twarzy, miotanego drgawkami i jego tymczasowych opiekunów podających mu tlen.

Chory rzeczywiście ledwie zipie, lecz w trakcie badania okazuje się, że jest to coś poważniejszego od przypadłości wysokościowej – zakrzepowe zapalenie żył na podłożu żyłaków. Dla lekarza to duża niespodzianka, bo w tym stanie zdrowia zazwyczaj nie wychodzi się z domu bez laski, a w klubie przed wyjazdem musiał przejść jakieś badania. Zabiegi przywracają choremu częściową świadomość. Dalej ma jednak duszności i nie bardzo wie, jak się uznał tu, gdzie jest.

W ciągu następnych dwóch dni kto może pakuje bagaże i maszeruje do górnej bazy, stamtąd wyżej, do obozów wysokościowych, skąd wyjść ma atak na Shishapangmę. Poniżej zostaje w namiocie chory i lekarz czuwający u wezgłowia. Jerzy Kukuczka, przyjaźniący się z Majerem, sugeruje na odchodnym, by nie ryzykować i sprowadzić go w dół. Po dwóch dniach przysyła list. Doręczycielem jest włoski alpinista, członek jednej z wypraw związających manatki po nieudanej próbie wejścia na szczyt. W koperce tkwi 100 dolarów na koszty podróży. Kierownik polskiej grupy nalega bowiem na odesłanie chorego do domu. Doktor jest mniej stanowczy. Może dlatego, że widzi, iż jego pacjent nie robi samodzielnie dwóch kroków. Cóż dopiero, gdyby miał tuc się dżipem po bezdrożach i łapać przesiadki na lotniskach w Lhasie i Pekinie. Wątpliwości zostawia jednak dla siebie i po nie przespanej

Pożegnalna kolacja przed opuszczeniem Katmandu.



Lekarz wyprawy Lech Korniszewski: „Nie było nikogo, kto nie skarżył się na mniej lub bardziej poważne dolegliwości”.



Ostatni szczyt

nocy oznajmia z nagłą frant Majerowi, że nie ma rady, schodzą. Wzmianka o powrocie natychmiast wyrwa chorego z odrętwienia. Stawia wszystko na jedną kartę – wóz albo przewóz. Zaczyna ćwiczyć jak szalony. Piątego dnia, opierając się na kijkach narciarskich kuśtyka wokół namiotu, kryzys ma już za sobą.

Traf chce, że w tej bezludnej okolicy pojawiają się tybetańscy poganiacze jaków, wynajęci wcześniej przez Włochów. Przystają chętnie na pasażera. Janusz Majer jako pierwszy w historii alpinista odbywa wspinaczkę w góry na grzbiecie jucznego zwierzęcia. W górnej bazie gdzie powoli do siebie.

Nerwówka

Tymczasem zaczyna padać gęsty śnieg i zespoły linowe wracają z obozów wysokościowych, pierwszego i drugiego.

Rozpoczynają się denerwujące dni. W takim miejscu jak to trudno prognozować. Noce są bezchmurne i mroźne – w dzień śnieżyca. Może tak potrwać miesiąc. Przeciagająca się bezczynność rozdrażnia. Jest ciasno i byle blachostka rodzi scysje. Ludzie dziwaczej. Ktoś kogoś sztorcuje za rzekome mlaskanie przy jedzeniu. Anglik Untch dzień w dzień zadusza lekarza swoją wymyśloną żółtaczką. W mocno rozrzedzonym powietrzu, w nienaturalnych warunkach niełatwo utrzymać niezmaconą jasność umysłu.

Przed laty psychiatra, profesor Zdzisław Rym, próbował szukać sobie pacjentów w środowisku himalańczyków, będąc przekonany o ich niedomaganiu umysłowym. Ale nie wszyscy zgadzają się z jego tezami naukowymi. Docent Lech Korniszewski, przewodniczący komisji lekarskiej PZA twierdzi, iż podczas długoletniej kariery nie sprostregł u alpinistów żadnych trwałych zaburzeń. Natomiast nie zaprzecza, że na wysokości kilku tysięcy metrów odczuwa się nietypowo. Zdarzają się halucynacje i omamy. Deterioracja psychiczna zwiększa ryzyko popełnienia tragicznego błędu.

Ósmego dnia wszystko odmiennie się na lepsze, chmury się rozejdą, śnieg ustanie. Wszyscy pną się do obozu drugiego na wysokości 7 tys. metrów. Zostaje jedynie Małgorzata Fromenty, silnie gorączkująca. Janusz Majer, w którym dusza ledwie się kołacza, również upiera się iść wyżej i jego lekarz zgadza się na taką próbę. Naprzód wyrwa się Carlos Carsolio z nie wyleczoną ropną anginą gardła. Bezczynność mocno mu dojadła.

Rekordy

Kto spacerując zimą po Zakopanem przypatrzył się sylwetce Giewontu, śnieżnego szczytu skalnego z ostrymi turniami, powinien mieć dobre wyobrażenie o wierzchołku Shishapangma. Na Giewont najłatwiej wydostać się podążając od strony prawego ograniczenia, w lewo, wzdłuż podstawy i dalej łagodnym podejściem w górę. Podobną drogę na wzniesienie himalajskie przetarli w 1973 roku wspinacze chińscy i od tego czasu często bywa uczęszczana. I tym razem ruszyła tędy liczna grupa. Dwoje Meksykanów, Ekwadorczyk Navarreta, Wanda Rutkiewicz i Ryszard Warecki z nieodłączną kamerą filmową. Brytyjczyk Al-

lan Hinkes i Amerykanin Steve Untch skierowali się w stronę kuluaru północnej ściany, z myślą, by posuwać się ukosem po stromiznie tego ogromnego żlebu w kierunku skalnej szczytowej charakterystycznej także w rzeźbie Giewontu. Przed nimi nie stąpił wtedy nikt wcześniej.

Łupem Jerzego Kukuczki i Artura Hajzera padła zachodnia grań, groźnie wyglądająca, poszarpana skała. Wieczorem, 18 września, po trudnym technicznie trawersie, to wspinając się, to schodząc w dół, dotarli na szczyt. Niedługo potem w tym niedostępnym miejscu będzie rojno jak na Gubałówce. Pojawia się Wanda Rutkiewicz ze swoim orszakiem. Prawdziwą rewelacją jest oprócz rekordu Jerzego Kukuczki wyczyn 22-letniej Elsy Avita, najmłodszej kobiety, jaka wspięła się na ośmiotysięcznik. W Mexico City czeka ją triumfalny przejazd z lotniska przez całe miasto. Chwila jest podniosła, kamera filmowa terkocze bez przerwy. Ryszard Warecki filmuje wszystko i wszystkich.

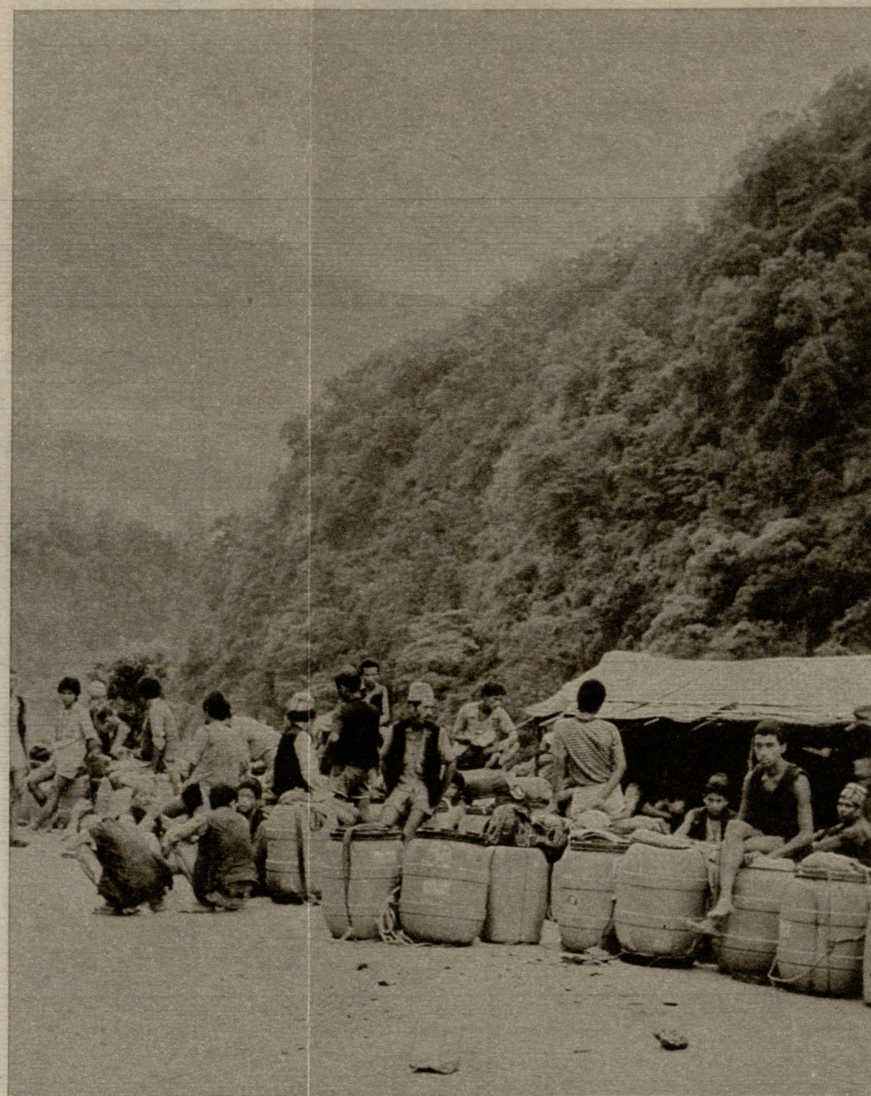
Na koniec ostatnia atrakcja. Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer przypinają do nóg narty Rosignola. Ostatnie zdjęcia do folderu i jazda w dół. Znajdują się jednak na wysokości 8 tysięcy metrów, w tak zwanej strefie śmierci, gdzie każdy ruch jest ogromnym wysiłkiem. Bez dopływu sztucznego tlenu organizm nawet w czasie spoczynku traci energię. Dwaj narciarze nie kręcą więc krystianii, lecz ostrożnie zsuwają się w dół przystając co parę metrów, przy czym Artur Hajzer wywija raz i drugi kozła, aż w końcu zirytowany pozbywa się desek.

Następnego dnia Hinkes i Untch dobiegają do końca kuluaru. Kolejny sukces sportowy wyprawy. Oprócz tego osobisty i zawodowy. Allan Hinkes, pracownik firmy Berghause handlującej różnymi sprzętami sportowymi, wie, że jego wyczyn przyciągnie klientów. Zyska też reputacja Kalifornijczyka – na co dzień przewodnika wycieczek w Górach Skalistych. Temu ostatniemu radość mać jednak pewna dolegliwość. Doktor Korniszewski jest właśnie w trakcie posiłku, gdy radiotelefon zaskrzeczy głosem Allana: „To camp, to camp. Can you hear? Over”. Obaj ze Stevem siedzą na śniegu i oglądają jego odmrożone, puchnące palce. Już w „bazie chińskiej” cięcie chirurgicznego noża pozbawi go palucha prawej stopy.

Po uporaniu się z Shishapangma w bazie uroczysta feta na cześć lidera. Namiot-stołówkę przystraja transparent na papierze higienicznym. Lekarz wyprawy, tego dnia dyżurujący w kuchni, serwuje danie specjalne: 14 klusek śląskich. W każdej wbita małeńka chorągiewka z nazwą ośmiotysięcznika, które Jerzy Kukuczka „połykał” kolejno przez siedem lat. Dla każdego znajdzie się też po kropelce whisky zachomikowanej na tę okazję. Brak natomiast pompatycznej mówki, jakie uwielbiają palnąć w podobnych okolicznościach inni polscy kierownicy wypraw. Jerzy Kukuczka poprzestaje na kilka słów podziękowania. Czas wracać.

W dół

Droga w dół to istna gehenna. Wierchowicz Janusza Majera był potulnym



Katmandu Kadari dzielił osiem godzin jazdy autobusem. Droga nie zawsze była jednak przejezdna. Wtedy, podobnie jak i tym razem, trzeba kilku dni uciążliwego marszu z karawaną tragarzy.

Zdjęcia: Lech Korniszewski, Ryszard Warecki i Archiwum „P”

jagnięciem. Jaki transportujący dobytek wyprawy są przy nim jak dzikie bestie. Doktor Korniszewski prowadzący przedem utykającego Untcha, raz po raz widzi kolejne zwierzę pędzące na osłep z poszarpaną uprzężą. Plastikowe pojemniki z bagażem toczą się paręset metrów w dół i lądują w lodowato zimnym potoku. Niżej, pomiędzy chińską wsią Kassa a nepalską Kadari, gdy karawana rozciągnie się na kilka kilometrów, potrącona przez jaką Wandę Rutkiewicz potłucze się boleśnie w stromym, skalnym wąwozie.

Sukces wyprawy cieszy, ale ludzie znękani dolegliwościami losu wyglądają niecierpliwie końca. Dwóch z nich będzie musiało przejść jeszcze jedną próbę. Pierwszej stawi czoła Jerzy Kukuczka i jest to pierwsza opresja, w której traci swój legendarny stoicki spokój. Dzieje się to w bazie chińskiej, gdy odrętwiały z bólu, trawiony gorączką, po nieprzespanej nocy zagląda do szpitalnego namiotu. Jego twarz jest napuchnięta jak po ukąszeniu moskita. Zapalenie okostnej. Nie wiele też brakuje, aby była to ostatnia pomoc lekarska, jaką udzielił w swym życiu doktor Korniszewski. W rozklekotanym autobusie, wynajętym do przewiezienia sprzętu, dostaje gwałtownego krwotoku z przewodu pokarmowego. W kilka chwil wszystko wokół zbrzydane jest krwią. Obok półprzytomnego lekarza jedynym pasażerem tego zdezelowanego wehikułu jest rekonwalescent Janusz Majer, mający mniej niż mgliste pojęcie o postępowaniu medycznym w

takich okolicznościach. Nie większe ma też nepalski szofer, toteż w pierwszej napotkanej wsi posyła po znachora. Ów nie ma kłopotów z diagnozą i szeptem przekazuje chorego do pozostania w jego chacie, gdzie w spokoju będzie mógł oddać ducha. Nie ma problemów z pochówkiem – uspokaja – do Gangesu zaledwie parę kroków...

Utrata dwóch litrów krwi to nie frazka, ale da się żyć, gdy organizm przywykł przez miesiąc do niedotlenienia. Podobnie jak Majer tam w górze, tak teraz jego lekarz bierze się w garść widząc, że Nepalczycy nie na żarty wzięli sobie do serca słowa szamana i gotowi są go naprawę zostawić.

Potem było już tylko Katmandu i zagracony pokój w hoteliku „Tukoche”, gdzie w gronie uczestników kierownik wyprawy dokonywał na ich własny użytek oceny tego co poza nimi. Wiemy tyle, że nie wynosił się ze swym sukcesem, choć mógł i nikt nie wzięby mu tego za złe. Nie ma obecnie równego sobie alpinisty. Podziękował tym, którzy dopomogli mu w przypiętowaniu dotychczasowych, rekordowych wyczynów.

Na lotnisku w Warszawie czekały na niego jupiter, kamery telewizyjne, podsuwane pod nos reporterskie mikrofony. Był zażenowany, onieśmielony, trochę przelękły tą całą natarczywością otoczenia.

DARIUSZ LIWANOWSKI